

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

9

Lecz nie. Ręka z wolna puściła butelkę i opadła; głowa pochylała się tak, że brodą dotknęła piersi i przejmujące westchnienie dobyło się z tych piersi. Hexford miał słuszną rację. Jedno tylko poruszyć go mogło.

Sweetwater spróbował tego jednego. Zapukał lekko do pokoju chorej.

Niepamiętne wszystkiego innego ucho pochwyciło to pukanie. Młody Cumberland zerwał się i stanął; i na chwilę Sweetwater ujrzał znów te grube rysy, które godzinę temu na dole takie odrażające na nim sprawiły wrażenie. Lecz wnet zgnębiona postać opadła na swoje miejsce, tak samo złamana i przybita, jak w pierw.

Sweetwater, który już miał zapukać po raz drugi, opuścił rękę. Nie spodziewał się takiego zobojętnienia, zawodziło to jego oczekiwanie. Przytem przypomniał sobie, co sędzia mu zalecił, żeby się zachowywał spokojnie. Postanowił iść jak najciszej, nie wywołując najłżejszego szmeru.

Teraz otworzono mu drzwi. Gdy stanął na progu, uderzyła w niego przedewszystkiem łuna różowego światła, cały pokój był bowiem obity delikatną różową materią. Drugiem spojrzeniem objął bladą twarz Karmeli, spokojną w tej chwili, gdyż spoczywającą we śnie.

Doskonała piękność taką jest rzadkością, a czar jej zawsze tak potężnie działa! Nawet bandaże, otulający jeden policzek, nie mógł ukryć doskonałej harmonii rysów, ani ująć całości twarzy, cechującej ją słodyczy i dysynkryi. Szał, który wykrzywił mięśnie i rozżarzał oczy złowieszczym płomieniem, ustąpił teraz na chwilę. Sen ukotłował duszę w spokoju, ciału przywrócił przyrodzony wdzięk.

Sweetwater spoglądał na uroczą, ciemną głowę, wspartą na ramieniu opiekunki.

— Niech pani wybaczy moje wtargnięcie — rzekł — ale myślałem, że może pani zapotrzebować tych rzeczy. Hexford polecił mi to przynieść.

— Dziękuję panu. Czy pan jest jednym z nich? — zapytała hadawczo.

— Czyby to co szkodziło, gdyby nawet? Sądzę, że nie. Nie chciałbym się w oczach pani wydać natrętem.

— Czego panu potrzeba? Wiem, że pan czegoś chce. Niechaj pan mówi, dopóki tu spokojnie.

Ruchem głowy wskazała na łóżko, a Sweetwater skorzystał z chwili, żeby się przyjrzeć pielęgniarce samej. Była to silna, przystojna kobieta, robiąca wrażenie, że zdolna jest i dobroliwą zarazem. Jednakże siła woli i surowe pilnowanie obowiązku przewyższało w niej uprzejmość. Czuło się, że gdyby ktoś sprzeciwił jej się w tem, co by za najlepsze uważała dla swej pacjentki, a może i dla siebie, że wtedy potrafiłaby być surową, może przykra nawet w mowie i obejściu.

— Chciałbym raz jeszcze spojrzeć na pani pacjentkę, a także pragnąłbym pozyskać zaufanie pani, ponieważ pani i ja nieraz jeszcze zapewne przed końcem tej sprawy widywać się będziemy. Mówię szczerze, tak jak pani żądała.

— Czy pan należy do głównej dyrekcji?

— Sędzia Perry mnie przysłał.

Tu, odpowiadając surdut, pokazał swoją kartę.

— Sędzia wrócił do swego urzędu. Wstrząsnął nim silnie ten okrzyk, który w niefortunną chwilę rozległ się w czasie modłów żałobnych.

— Ja wiem. To z mojej winy; właśnie na chwilę otworzyłam drzwi, a pacjentka przez ten czas obudziła się z martwoty i przemówiła.

Tymczasem zaciągnęła go do pokoju i jeszcze raz spojrzawszy na pacjentkę cicho drzwi za nim zamknęła.

— Nie mam nic do doniesienia — rzekła — ale to jedno zdanie słyszeli wszyscy.

Sweetwater spostrzegł mały notatnik z ołówkiem, wiszący przy jej pasku i zrozumiał stanowisko jej i niezwykłą powolność jej względem swoich życzeń. Mimowoli wydał cichy okrzyk. Młody był i jeszcze w nim mężczyzny nie pochłoniął całkowicie detektyw.

— Co za okrutna konieczność, czuwać nad tak interesującą pacjentką nie tylko dla jej dobra jedynie! — zauważył.

Że jednak był detektywem, nie tylko mężczyzną, więc mówiąc, równocześnie rozglądał się po pokoju, aż zastanowił się nad dziwnie wyglądającą szafką,

czy też schowkiem, wpuszczonym w ścianę naprzeciw łóżka.

— Co to być może? — zapytał.

— Nie wiem; nie umiem sobie tego wytłómaczyć, a nie mam ochoty pytać.

Sweetwater przyglądał się temu przez chwilę z miejsca, gdzie stał; a potem podszedł bliżej i badał to szczegółowiej. Była to rzecz zupełnie oryginalna. Nie wyższe niż stopę, długości miało najmniej pięć stóp. Drzwiczki były zamknięte, ale że były ze szkła, przedmioty poza niemi były dokładnie widzialne. I te to właśnie przedmioty były zagadkowe. Im dłużej im się Sweetwater przyglądał, tem mniej rozumiał powód ich zbierania i przechowywania w pokoju, który pod każdym innym względem odznaczał się wykwintnym smakiem.

Z jednego końca zobaczył wypchanego kanarka, nie siedzącego wszakże na gałęzi, lecz oderwanego od niej, przewróconego na boku. Obok leżała lalka z przypaloną twarzą i nawpół spalonymi członkami. Tuż obok skorupy porcelanowego wazonu i coś, co wyglądało jak szczątka bardzo pięknej, podartej koronki. Trochę dalej ujrzał kapelusik dziewczęcy, elegancki, z pięknego materiału, ale tak pognieciony, że aż bezkształtny. W długim rzędzie zniszczonych przedmiotów był metronom, o wygiętem wahadle i o oderwanym jednym boku. Nie mógł określić tego, co było dalej i resztę przejrzał tylko pobieżnie. Wszystko to było dla niego zagadką, a nie miał czasu na zagadki, nie mające związku z poważną sprawą, nad której rozwiązaniem pracował.

— Jakież dziecinne fraszki! — zauważył i posunął się ku drzwiom. — Służba powróci łada chwila, a wolałbym, by mnie tu nie znaleźli. Zobaczymy się jeszcze... sam nie wiem, kiedy. Gdyby pani potrzebowała posłać po mnie, to nazywam się Sweetwater!

Już brał za klamkę, gdy nagle drgnął i obejrzał się.

Gwałtowna zmiana zaszła w pacjentce. Czy głosem jego rozdrażniona, czy wskutek falowania pozerającej ją gorączki, Karmela uniosła się z ponad poduszek i siedziała teraz, patrząc prosto przed siebie z wzburzoną twarzą i otwartymi ustami; mówić coś chciała.

Sweetwater zapał w sobie oddech, a pielęgniarka poskoczyła ku niej i łagodnie opasała ją ramionami.

— Połóż się — prosiła — połóż. Wszystko dobrze; ja tu jestem, ja o wszystko dbam. Połóż się, mała i staraj się zasnąć.

Dziewczęce przechyliło się i ustępując dotknięciu opiekunki, opadło na poduszki. Ale w jednej chwili zerwała się znowu i odrzuciwszy głowę, zawołała równie głośno, jak przed godziną:

— Otwórzcie! Otwórzcie! Rozbijcie szkło i zaryzycie. Tam musi być jej serce!... jej serce!... jej serce!

— Idź pan, bo nie będę mogła jej uspokoić! — rozkazała pielęgniarka, a Sweetwater posłuszny, zawrócił.

Ale tu natrafił na nową przeszkodę. Brat usłyszał krzyk chorej i stał teraz przed progiem.

— Kto pan jest? — zapytał niecierpliwie, patrząc gniewnie na Sweetwatera.

— Przyniosłem lekarstwa — wytłómaczył spokojnie przytomny detektyw. — Nie chciałem przestraszyć paniuki i myślałem też, że to nie ja ją przestraszyłem. To w gorączce ona tak nieprzytomnie rozprawiała!

— Nie potrzeba nam tu obcych — odpowiedział młody Cumberland. — Niech pani pamięta, żadnych obcych!

Głos jego brzmiał stanowczo i rozkazująco.

Sweetwater, przemyskując się ku odejściu, przyrzął mu się z prawdziwym zdziwieniem. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy spojrzawszy w głąb alkowy, dostrzegł, że wbrew temu, co przewidywał, w butelce nie ubył whisky.

— Oto mam łamigłówkę! — pomyślał, schodząc ze schodów. — Nawet sam Mr. Gryce przyznałby, że trudna. Ciekaw jestem, jak sobie z tem dam radę? Góra! Muszę być górą! Zleby było, gdyby mi się powinęła noga w tej pierwszej, wielkiej sprawie, jaką na własną rękę podjąłem.

XV.

NIESPODZIANA INFORMACJA.

Powracająca służba zajęła właśnie w chwili, gdy Sweetwater zeszedł na dół. Był przy bocznych drzwiach, gdy wchodził, od jednego też spojrzenia poznał, że wszystko odbyło się spokojnie i przyzwyczajenie i że nic odtąd nie zaszło, co by ich poruszyło.

Poszedł za nimi do kuchni, a odczekawszy, aż mężczyźni poszli do swoich zajęć, zwrócił się w stronę

dziewcząt. Stały obie, jak gdyby same nie wiedziały, co ze sobą począć.

— Siadźcie, panienki — przemówił Sweetwater, podsuwając im krzeselka i niejako robiąc tu honory domu. A potem chytrze ułożywszy współczującą miłą, popatrzył w smutne ich twarze i podstępnie zaczął:

— Tak, tak, wszystkie jeszcze jesteście wzburzone tem, co w czasie pogrzebu Mr. Cumberland w tak niewłaściwy sposób powiedział. Chciałby załuszczyć pana Ranelagh! Może przecież poczekać, aż kat to zrobi! Tak to wygląda, jakby ten pan znajdował w tem przyjemność, zrobić to własnoręcznie.

— Ach, niech pan tego nie mówi! — jęknęła jedna z dziewcząt, wrażliwa, aczuciowa Magdzia. — Okropności tego domu dobijają mnie. Ja już tego dłużej nie wytrzymam. Pójdę sobie, jutro sobie pójdę!

— Nie pójdzie panienka; za dobre serce ma panienka, żeby pana Cumberland i jego siostrę opuszczać w tym ich rozpaczliwym smutku — zaprzeczył zreżnmem pochlebstwem.

Łzy napłynęły do oczu dziewczyny i nie powiedziała nic więcej. Sweetwater teraz przysunął się do Heleny i szepnął jej do ucha:

— Ona więcej mówi, ale nie ma więcej poczucia obowiązku od panienki. Mam dużo doświadczenia, znam kobiety i wiem, że panienka jest z tych, co w takich warunkach zostają.

Zwróciła ku niemu z wolna zdziwione oczy, z miną, któraby niejednego zawstydziła.

— Nie wiem, jak pan się nazywa i nie wiem, co pan tu ma do roboty; ale to wiem, że bardzo pan sobie ufa, skoro pan tak śmiało zapewnia, co zrobić, albo nie zrobić. Ja sama tego jeszcze nie wiem.

— To dlatego, że panienka sama tak bystro nie widzi cnót własnych, jak... nie chcę powiedzieć, jak ja, ale jak każdy, co umie trafnie sądzić. Nie mogę nie widzieć, jaką panienka jest.

Odwrociła się od niego, ukrywając pogardliwie drgnięcie różowyh, milczących warg.

Sweetwater, którego wzroku to nie uszło, zapuścił się teraz z najniewinniejszą miną w długą tyradę przeciw uwiezionemu obecnie, jak gdyby wina jego była dowiedzionym faktem, a tylko formalności prawne opóźniały wyrok.

— Wam wszystkim musi być dziwno — kończył — pomyśleć, że miesiącami całymi usługiwaliście mu i widzieliście go, kręcącego się po tym domu, jak gdyby miał w sercu najlepsze zamiary, jak gdyby myślał ożenić się z Miss Cumberland, a nie zamordować ją.

— Ooo — załkała głośno Magdzia. — I taki dobrze wychowany pan to był! Ja w nic złego o nim nie mogę uwierzyć. Wcale nie był podobny... — Urwała tak nagie, że Sweetwater był przekonany, że ostrożniejsza Helena pociągnęła ją za suknę. — Wcale nie był podobny do innych panów, co tu przychodzili. Zawsze miał dla każdego uśmiech, albo uprzejme słowo. Ja... ja...

Już nie starała się dokończyć, tylko zerwała się, ciągnąc za sobą spokojniejszą Helenę.

— Chodźmy stąd — szepnęła — boję się tego człowieka.

Tamta ustąpiła i zaczęła iść ku sieni za porywczą Magdzią.

Sweetwater zebrał się na odwagę.

— Chwileczkę! — poprosił. — Czy nie zechcecie mi powiedzieć, nim odejdziecie, czy lichtarz, który zauważyłem w jadalnym pokoju, jest jednym od pary?

— Tak, były dwa niegdyś — odpowiedziała Helena, opierając się Magdzi, chcąc ją wyciągnąć.

— Niegdyś — uśmiechnął się Sweetwater — to znaczy trzy dni temu.

Skinęła głowę i zawróciła ku drzwiom.

Sweetwater zmienił ton i zapytał zupełnie prosto:

— A czy ta para zawsze tam stała, po jednym na każdym rogu kominka?

Skinęła głowę.

Sweetwater odczuł zawód. Pokój wspomniany, był to pokój przejściowy dla całej rodziny. Ktobądź z nich mógł zabrać lichtarz.

— Dziękuję, panienko! — rzekł. Byłby ryzykował i pytał dalej, gdyby mu dała sposobność. Zniknęła jednak za drzwiami, a Sweetwater pozostał sam.

Niekoniecznie smutne były jego rozmyślenia. Był pewien, że zauważył wewnętrzną walkę w dziewczynie, to zacinającej się, to jakoby pragnącej coś powiedzieć.

— Tak! tak! — myślał sobie. — Dobrze ziarno padło na żyzną glebę. Niech spokojnie puści korzenie i wszędzie. Może sędzia śledczy skorzysta z tego.